

## **Bartosz Jastrzębski: Wolność jest drogą ku Bogu**

Wolność nie polega na robieniu tego, co się chce – a co na ogół sprowadza się do niewolniczego posłuszeństwa impulsom natury instynktownej lub zewnętrznym bodźcom – ale na zdolności do autodeterminacji, tzn. do działania wbrew tym impulsom i bodźcom, za to w zgodzie z założonymi celami i regułami, uznanymi na mocy autorytetu i rozumu za dobre – pisze prof. Bartosz Jastrzębski w odpowiedzi na ósmy list Krzysztofa Dorosza.

Drogi Krzysztofie,

Poruszyłeś w swoim liście problem wolności – problem fundamentalny nie tylko dla chrześcijańskiej antropologii, ale wprost dla każdego człowieka, bez względu na to, w co wierzy. Pozwól więc, że odpowiedź swą rozpocznę słowami papieża Leona XIII. Ów jeden z najwybitniejszych Namiestników Piotrowych XIX wieku poświęcił problemowi wolności encyklikę *Libertas* (1888). Stwierdza w niej między innymi:

Gdyby ci, co zwyczajnie o wolności rozprawiają, rozumieli prawowitą i uczciwą wolność, jaką co dopiero rozum i słowo Nasze określiło, nie ważyłby się nikt robić Kościołowi zarzutu, który mu przez najwyższą niesprawiedliwość czynią, jakoby był nieprzyjacielem tak wolności jednostek, jak i też wolnego państwa.

Lecz bardzo wielu, śladem Lucyfera, co wydał ów niegodziwy głos *nie będę służył* (Jr 2,20), rozumie pod wolnością niedorzeczną i prostą swawolę. Takimi są ci, co należą do owej tak rozszerzonej i tak potężnej szkoły, a którzy, przybrawszy sobie od wolności imię, chcą, aby ich liberalnymi zwano[1].

Otóż wydaje się, że niewiele się od czasów wielkiego Papieża zmieniło, a jeśli już, to nie na lepsze wcale. Jak słusznie zauważasz, problem tkwi w notorycznym i głębokim niezrozumieniu różnicy pomiędzy wolnością i samowolą oraz w braku świadomości, iż wolność – choć jest dyspozycją szlachetną, niemal boską, to przecież nie jest wartością absolutną i bezwzględnie pozytywną z tej prostej przyczyny, iż może ona prowadzić – i faktycznie często prowadzi – w objęcia najgorszego zła. Lucyfer wszak był wolny, wolny był też Kain i Judasz. I Hitler i Stalin – wolność wiodła ich do stworzenia nowych, makabrycznych form niewoli i zbrodni. Wolność jest cudem, ale takim, który można bez trudu przetopić w piekielnych piecach na władzę przerażającą i diaboliczną. Szeroko rozumiani liberałowie (piewcy wolności) tego rozumieć nie chcą – chyba że tropią swoich politycznych wrogów, „faszystów”, „klechów”, „tradsów” i innych „nieprawomyślnych” myślozbrodniarzy. Tak, wtedy – i tylko wtedy – wolność chętnie by ograniczyli, stworzyli wręcz rozległe obszary cenzury i niewoli.

Generalnie bowiem nieokiełzana wolność stała się w dzisiejszych czasach absolutem – oczywiście wolność negatywna, wolność „od”. Od czego? Ooo! Tu lista jest długa i wciąż rośnie: od religii i moralności oraz wszystkich związanych z nimi ograniczeń instynktów, pożądań i kaprysów; od tradycji i wszelkich norm obyczajowych, prawnych i kulturowych; od edukacji – a jakże! – oraz jej opresywnych instytucji i praktyk; od reguł współżycia społecznego i społecznych powinności, od

*Nieokiełzana wolność stała się  
w dzisiejszych czasach  
absolutem – oczywiście  
wolność negatywna, wolność  
„od”*

wszelkich zasad w sztuce, filozofii i literaturze; od norm stosowności w pożyciu intymnym, a także w wychowaniu i komunikacji... Opresji bez liku, bez liku więc uwolnień i

najrozmaitszych transgresji. Jeden z moich sąsiadów uporczywie kosi trawnik w niedzielę, kiedy większość mieszkańców próbuje dojść do siebie po ciężkim tygodniu pracy (o religijnym znaczeniu niedzieli nawet już nie wspomnę). Kiedy grzecznie zwróciłem mu uwagę, że może byłby łaskaw robić to w inny dzień, warknął tylko: „Panie! Żyjemy w wolnym kraju. Będę kosił, kiedy chcę, co z tego, że niedziela!”. *Causa finita* – wolny człowiek, ot co, będzie kosił, rąbał i piłował w niedzielę na chwałę wolności.

Długo można by wymieniać różnorakie „wolnościowe” akty i postanowienia, list Twój potwierdza zresztą, iż dobrze owe „emancypacje” znasz. No właśnie – emancypacja. Przyznam Ci się, że pojęcie to budzi już moją najgłębszą odrazę, bo też i w dziewięciu przypadkach na dziesięć czai się pod nim jakieś nowe świństwo, próba zniszczenia kolejnego fragmentu tkaniny kulturowej, religijnej bądź społecznej. A jest ono istną „świętą krową” współczesnych słowników liberalnych demokratów oraz wszelkich innych lewicowych wolnościowców. Kto jest przeciw emancypacji (nieistotne kogo i jakiej i po co), jest wrogiem ludzkości, niszczy bowiem jej marzenie, jej szczęście i ostateczne spełnienie. Doskonale ujmuje to Legutko:

Liberalna demokracja bywa postrzegana przez swoich zwolenników jako finalna realizacja odwiecznych dążeń ludzkości, przede wszystkim do wolności. Jeśli dzieje będziemy pojmować – tak jak czynili to liberałowie – jako zmierzające do maksymalizacji wolności jednostki, a także – tak jak czynili to demokraci – jako zmierzające do wyzwolenia ludu oraz wszelkich innych grup spod tyranii, to liberalna demokracja będzie się jawiła jako szczęśliwy finał odwiecznych ludzkich marzeń. Ponieważ trudno sobie wyobrazić coś, co mogłoby powstać po niej, a co nie byłoby udoskonaloną wersją jej samej, to tym samym trudno też sobie wyobrazić, że ktoś mógłby w dobrej wierze, będąc moralnie zrównoważony i w pełni władz umysłowych, występować przeciwko liberalnej demokracji. Ktoś taki byłby niewątpliwie wrogiem ludzkości[2].

Taka właśnie panuje dziś atmosfera w społeczeństwie i kulturze. Co chwila eksplodują „wolnościowe” manifesty – czy to będzie *Klątwa Frilijcia*, czy *Kler Smarzowskiego*, czy czarne marsze, marsze tęczowe bądź czerwone. Wolność, wolność!, krzyczą – czyli zniszczyć wszystko, co jeszcze z religii, kultury wyższej i wyższych wartości pozostało. Do tego się owa wolność sprowadza. To już nawet nie seksualna i obyczajowa – ale przynajmniej jakoś pogodna i nieraz po ludzku sympatyczna – kontestacja dawnych hippisów. To pełne jadu, nienawiści i dzikiej zawziętości niszczenie tego, co dla ludzi przez wieki było ważne, co nadawało ich życiu jakość i sens. To lobotomia pamięci, opluwanie nadziei, bezczeszczenie wyobraźni i wiary. Już nie tylko *non serviam*, ale – *destruam!* Bo dopiero gdy nie będzie nic – nic nie będzie mnie ograniczać. Nie ma w tym czegokolwiek pozytywnego, pod powierzchnią szczytnych haseł nicuje jeno pustka i chwilowy skandal, za który być może rzucają groszem jakieś unijne instytucje lub NGO albo

o którym w tonie zachwytu napisze „Wyborcza” czy „Newsweek”. Zauważ również iż, rzecznicy tak pojętej wolności-samowoli nie poprzestają na uczynieniu z niej swojego tylko, „prywatnego” absolutu. O nie, żądają więcej – chcą, by wszyscy przyłączyli się do tego pochodu „wolności”. Pozwól, że raz jeszcze przywołam kapitalne spostrzeżenia Legutki:

Skoro aborcja jest wolnością, to należy podnieść świadomość tych, którzy uważają inaczej, zmusić lekarzy, by tej wolności pomagali, a także uciszyć księży, by jej nie przeszkadzali. Skoro małżeństwa homoseksualne są wolnością, to także należy zmusić opornych, by ten fakt zaakceptowali [...]. Skoro polityczna poprawność to konieczność życia w społeczeństwie liberalno-demokratycznym, to jej narzucanie nie jest przecież niczym innym jak działaniem na rzecz emancypacji wszystkich. Środowiska, którym udało się przechwycić frazeologię wolnościową i uzyskać wpływ na państwo – na przykład grupy homoseksualne i feministyczne – wykazują niezwykle skuteczną w takim zmuszaniu do wolności większość społeczeństwa [...]. Dzisiaj nie tylko wolno napisać i powiedzieć znacznie mniej niż kiedyś, lecz nadto dokonuje się rozmontowywanie wszystkich instytucji i wspólnot, które owo «zmuszanie do wolności» utrudniają. Jak w każdej utopii, tak i w liberalnej demokracji panuje przekonanie, że złogi nierozumnej przeszłości powinny być usunięte[3].

Wybacz, że w tak znacznym stopniu posłużyłem się cytatami, by wyrazić swoje myśli. Sądę jednak, że nie ma potrzeby męczyć się srodze nad wyrażeniem czegoś, co ktoś już trafnie i zgrabnie ujął. Bo o to przecież idzie: wolność od posłuszeństwa Boskiemu Prawu wiedzie –

poprzez zniszczenie wiar, obyczajów, hierarchii, wspólnot i instytucji – do najgorszych form zniewolenia tak jednostki, jak i całych społeczeństw – dostrzegali to już Platon, ukazując precyzyjnie drogę od demokracji do tyranii. Najpierw samozniszczeniu ulega jednostka: zrazu z radosnym zapałem odrzuca wszystko, co jawi jej się jako przeszkoda w twórczej i nieskrępowanej ekspresji własnego ja, w realizacji porywów własnych instynktów, żądz, fantazji i wizji. Czyli na początku jest dobrze, lekko, wesoło – nietzscheańsko, by tak rzec. Z biegiem czasu jednak owo postemancypacyjne pobojuwisko staje się coraz smutniejsze, szare, jałowe, pozbawione treści i barw. Na spalonej ziemi „uwolnionej” duszy samowładnie zaczyna panować Pustka, rozświetlana od czasu do czasu krótkimi błyskami hedonistycznych i biologistycznych podnieć. Innymi słowy, trzeba się upić lub zdrowo znarkotyzować, by coś zobaczyć lub poczuć. „Wyzwoleniec” taki jest niczym dziecko, które nagle zdaje sobie sprawę, że bezpowrotnie zniszczyło wszystkie zabawki, przepędziło św. Mikołaja, Anioła Stróża i wszelkie dobre duchy. Przegnało też Boga-Człowieka. Została Nicość. Co zatem robić? Resentyment nakazuje, by – niosąc światło wolności – spowodować, by wszyscy inni również znaleźli się w takim pożałowania godnym stanie. „Wyzwoleniec” zaczyna tedy walczyć o wolność innych perswazją, polityką albo i... tyranią, jeśli trzeba! W szerszej skali mechanizmy te zachodzą również w całych grupach społeczeństwa. Obserwujemy je na co dzień – choć może w Polsce nie są jeszcze tak zaawansowane jak na Zachodzie.

Ta inflacja wolności pochodzi w dużej mierze stąd, iż całkowicie odseparowano jej pojęcie od pojęcia prawdy. Pisał o tym już wiele lat temu św. Jan Paweł II:

W niektórych nurtach myśli współczesnej *do tego stopnia podkreśla się znaczenie wolności, że czyni się z niej absolut, który ma być źródłem wartości*. W tym kierunku idą doktryny, które zatracają zmysł transcendencji lub które otwarcie deklarują się jako ateistyczne. Sumieniu indywidualnemu przyznaje się prerogatywy najwyższej instancji osądu moralnego, która kategorycznie i nieomylnie decyduje o tym, co jest dobre, a co złe. Do tezy o obowiązku kierowania się własnym sumieniem niesłusznie dodano tezę, wedle której osąd moralny jest prawdziwy na mocy samego faktu, że pochodzi z sumienia. Wskutek tego zanikł jednak nieodzowny wymóg prawdy, ustępując miejsca kryterium szczerości, autentyczności, «zgody z samym sobą», co doprowadziło do skrajnie subiektywistycznej interpretacji osądu moralnego[4].

I nieco dalej Papież-Polak dodaje:

Powstała tendencja, by przyznać sumieniu jednostki wyłączny przywilej autonomicznego określania kryteriów dobra i zła oraz zgodnego z tym działania. Wizja ta łączy się z etyką indywidualistyczną, według której każdy człowiek staje wobec własnej prawdy, różnej od prawdy innych. Posunięty do skrajnych konsekwencji, indywidualizm prowadzi do zaprzeczenia samej idei natury ludzkiej[5].

Jakże daleko odeszliśmy od wolności pojmowanej jako wolność posłuszeństwa! Etyka katolicka również ujmuje wolność za pomocą pojęcia autodeterminacji. Techniczny to i może niezbyt zgrabny termin

– ujmuje jednak sedno sprawy. Oto wolność nie polega na robieniu tego, co się chce – a co na ogół sprowadza się do niewolniczego posłuszeństwa impulsom natury instynktownej lub zewnętrznym bodźcom – ale na zdolności do autodeterminacji, tzn. do działania **wbrew** tym impulsom i bodźcom, za to w zgodzie z założonymi celami i regułami, uznanymi na mocy autorytetu i rozumu za dobre. Wolność polega więc na tym, że mam w sobie siłę, dzięki której właśnie **nie robię** wszystkiego, do czego skłania bądź przymusza mnie nierozumna część mojej natury lub otoczenie. Wolnością nie jest to, że zamiast na wykład pójdę na piwo, ale to, że pójdę na wykład – który uznaję za wartościowy – właśnie pomimo tego, że każda komórka błaga o chmielowe wytchnienie. Wybacz ten niewyszukany przykład, ale tak właśnie próbuję tłumaczyć wolność jako zdolność do autodeterminacji czynów moim studentom – i sam już ten przykład jakoś polubiłem. Wolność polega tedy na możliwości wyboru i wytrwaniu przy owym wyborze – a nie stwarzaniu wartości. Takiej władzy nasze sumienie nie ma i nigdy nie miało – na ten związek wolności i prawdy kładzie nacisk św. Jan Paweł II. Wartości już są – ustanowiła je w wieczności Boża wszechmoc. My możemy tworzyć tylko ich karykatury, żałosne, pokraczne potworki, które uzurpują sobie prawo do bycia władcami ludzkich serc i sternikami ludzkich zachowań. Drogi są jednak już od dawna wyznaczone – zarówno ta szeroka i wygodna, która wiedzie na zatracenie, jak i ta wąska, ledwo widoczna – bo rzadko uczęszczana – która wiedzie do zbawienia. Czy jest – lub może być – jakieś *tertium*? Wolność jest drogą ku Bogu, jest walką o prawdziwą tożsamość, samowola zaś jest zniszczeniem siebie i innych, unicestwieniem piękna i harmonii, lucyferyczną degradacją bytu całego stworzenia. Ta druga ma tyle wspólnego z pierwszą, co Tolkienowskie trolle z elfami – to jedynie drwina z niej i jej karykatura.

Tak oto wkroczyliśmy, Krzysztofie, na grząski teren szeroko rozumianej polityczności. Ale nie mogło być inaczej. Wolność bowiem jest czymś najgłębiej osobistym, intymnym, nieprzekazywalnym – ale równocześnie wyznacza obszar spotkania z drugim człowiekiem, z bliźnimi w ogóle. Stąd też pytania o istotę wolności prowadzą nas z konieczności do pytań o naturę społecznego ładu, o to, jak powinna być zorganizowana wspólnota ludzka, o to w końcu, jak połączyć w społeczności wolnych ludzi wierność prawdzie z imperatywem nienarzucania tej prawdy innym, a zarazem niepozwalania narzucania sobie tego, co z tą prawdą jest sprzeczne. Nie są to problemy teoretyczne, odległe od naszej codzienności. Przeciwnie – co dzień niemal obserwujemy zapasy pomiędzy żądaniami coraz to większej wolności w samostanowieniu moralnych zasad a próbami ochrony tego, co jako chrześcijanie uważamy za wieczną i niezmienną Prawdę. Nie chcę wprowadzać cenzury, zniewolenia, nie chcę kneblować niczyich ust ani łamać piór – ale nie chcę też patrzeć co dzień na to, jak niszczy się i opluwa to, co dla mnie ważne. I tu właśnie wyłania się problem wolności w ujęciu społecznym. Jako chrześcijanin staram się szanować i tolerować wszystkich bliźnich, oddzielając osoby od grzechów przez nie popełnianych. Ale potrafię sobie też wyobrazić sytuację, w której powiem „dość” i aktywnie zacznę zwalczać wrogów Krzyża Chrystusowego – nie będę się chyba biernie przyglądał. Mam w sobie coś ze św. Piotra w Gaju Oliwnym, który porwał się z mieczem na zgraję siepaczy. Czy to będzie słabość? Możliwe. Zapewne nawet – ale nie wiem, czy będę potrafił inaczej. I tak w którymś momencie poczujemy za plecami ścianę. I co wtedy?

Serdeczności,

B.

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

IV część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Gdzie iść po śmierci?

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

V część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: O duchowej intuicji

Bartosz Jastrzębski: Bądźmy roztropni niczym węże

VI część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Serce — najgłębsza istota człowieczeństwa

Bartosz Jastrzębski: Wewnętrzna przestrzeń spotkania z  
Transcendencją

VII część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Epifania Boga w świecie

Bartosz Jastrzębski: Potrzeba nam serca rozumnego

\*\*\*

[1] Leon XIII, *Libertas*, Warszawa 2002, s. 16.

[2] R. Legutko, *Tryumf człowieka pospolitego*, Poznań 2012, s. 77.

[3] Tamże, s. 116–117.

[4] Jan Paweł II, *Veritatis splendor*, s. 32.

[5] Tamże.